

# WOJCIECH BURDELAK

„JESTEŚMY  
Z TEGO SAMEGO MATERIAŁU  
CO NASZE SNY”.

# WYBRANY

Thriller Psychologiczny

Wojciech  
Burdelak  
  
Wybrany

**Wstęp.**

*„Bo wypadek to dziwna rzecz...*

*nigdy go nie ma, dopóki się nie zdarzy”.*

Głośny pisk opon i ten lekko stłumiony, niemożliwy wręcz do opisania dźwięk wyrwał go w oka mgnieniu z głębokiej zadumy. Oczywiście, to było to. Potrzebował tylko krótkiej chwili, aby momentalnie wróciło wspomnienie, że już kiedyś usłyszał coś podobnego. Tak brzmi odgłos dobiegający przy kontakcie pojazdu z żywym organizmem. Tona stali i tworzyw sztucznych uderzająca z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę w zaledwie kilkadziesiąt kilogramów żywej tkanki, wytwarza ten specyficzny i niesamowity dźwięk, że w jego przypadku zapamiętał to tak dobrze, jakby to było wczoraj. Zdecydowanie trzeba powiedzieć, że są na tym świecie zdarzenia, które zapadają w pamięć na tyle głęboko, że pozostają tam do końca życia.

Wszystko co potem, było jedynie koszmarnym dodatkiem. Ludzki krzyk, dźwięk rozbijanego szkła, wszystko to sprawiało, że jego mózg z początku rozkojarzony i potwornie zaskoczony, zaczynał w końcu mozolnie łączyć poszczególne fakty. Wypadek, to było to, co nasuwało się po kilku milisekundach w miarę logicznego podświadomego rozumowania. Mógł mieć tylko cichą i ulotną nadzieję, że tym razem jednak się myli. Odgłos ten był tak specyficzny, że gdy kiedyś próbował go porównać z czymś znajomym, to nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Retrospekcja nastąpiła niejako wbrew jego woli.

Przypomniał sobie momentalnie, jak wiele lat temu wracał z kilkoma kolegami z pracy, i był świadkiem drogowego wypadku. Na jednej z małych bocznych uliczek na obrzeżach Bydgoszczy samochód osobowy potracił chłopca, nastolatka przebiegającego przez ulicę w niedozwolonym miejscu. I gdyby wtedy tam nie był, to nigdy nie uwierzyłby, jak szybko, wokół miejsca zdarzenia może zebrać się, taka duża grupa gapiów. Wyglądało to, jakby ktoś tych ludzi w jednej chwili w jakiś dziwny, ale zorganizowany sposób skrzyknął. W

ciągu dosłownie sekund na miejscu zebrała się grupa około trzydziestu, może nawet pięćdziesięciu osób. Tak przynajmniej wtedy to ocenił. Niestety tylko on jeden z będących na miejscu poczuł wtedy wyraźną empatię z poszkodowanym.

Nie zastanawiając się Stanisław ominął stojących i podszedł szybko do leżącego młodzieńca. Chciał spróbować udzielić mu jakiejś pomocy. Na szczęście jak się chwilę później okazało, chłopakowi nic poważnego się nie przytrafiło. Takie było jego pierwsze wrażenie. Chłopak jakiś czas leżał na asfalcie wyraźnie zszokowany i pozbawiony energii. Szczupły z rudą czupryną na głowie, haczykowatym nosem i dużymi odstającymi uszami wyglądał jak ktoś kogo przed chwilą obudzono. Po chwili usiadł i najzwyczajniej w świecie rozplakał się. Kucając przy nim Stanisław zwrócił się do najbliższej stojącej młodej kobiety. – Widzę, że ma pani komórkę. Proszę szybko zadzwonić po karetkę pogotowia – wyraźnie zaskoczona kobieta powiedziała coś szeptem do swojego towarzysza i sięgnęła po telefon.

- Pewnie zapomniała numeru pogotowia – pomyślał i już miał na końcu języka jaki to numer, gdy nagle usłyszał z ust dzieciaka.

- Nie chciałem tego proszę pana. Myślałem, że zdążę – głos chłopaka był stłumiony i niewyraźny. – Przepraszam pana bardzo, ale co teraz będzie?

- Spokojnie, nie ruszaj się, nie wyglądasz mi dzieciaku na rannego, a to jest teraz, tak naprawdę najważniejsze. Krwi nigdzie nie widać – obejrzał dokładnie poszkodowanego – to bardzo dobrze. Musisz jednak leżeć nieruchomo, bo możesz mieć jakiś uraz, którego z zewnątrz nie widać. Cierpliwości, zaraz przyjedzie karetka.

- Czy mogę już wstać? – zapytał chłopak, jakby w ogóle nie słuchał tego, co Stanisław przed chwilą powiedział.

- No nie wiem. Raczej nie. Ale nie jestem przecież lekarzem i nie wiem, czy to jest dobry, czy może wręcz fatalny pomysł. Dobrze się

czujesz, boli cię coś?

Chłopak w odpowiedzi poruszył energicznie głową na znak, że nie.

- No dobra, niech ci będzie. Spróbuj może poruszyć kończynami, aby sprawdzić, czy czegoś sobie nie złamałeś. Jak zboli, to znaczy, że coś jest nie tak.

- Czym mam poruszać?

- Kończynami! O Boże kochany, naprawdę nie rozumiesz, co to są kończyny? Masz chłopaku poruszać ostrożnie rękami i nogami.

Widok był dość komiczny. Młodzieniec potrząsał rękoma i nogami, jakby strząsał z siebie jakieś niewidzialne mrówki. Ktoś w tłumie cicho się zaśmiał, a dzieciak to zauważył.

- Nic mnie nie boli, proszę pana, wszystko u mnie w porządku. Nie mam złamań – powiedział wyraźnie zdeprymowany tym, że ktoś z gapiów zaśmiał się z jego powodu.

- Na pewno? To ty wiesz najlepiej.

- Tak, nic mi nie jest – odpowiedział tym razem stanowczo.

Wyglądało na to, że chłopak miał więcej przysłowiowego szczęścia niż rozumu, gdyż na pierwszy rzut oka, jego nagły kontakt z samochodem wyglądał naprawdę paskudnie. W chwili zderzenia z autem wpadł z impetem na maskę silnika, a później na przednią szybę, po czym stoczył się na ziemię. Samochód marki Volkswagen, w kolorze jasny metalik stał teraz jakieś pięć metrów od miejsca upadku chłopca. Miał zbitą lewą przednią lampę, lekko wgniecioną maskę oraz stłuczoną szybę od strony kierowcy. Właściciel pojazdu, starszy pan, stał teraz obok otwartych drzwi i rozmawiał z kimś przez telefon komórkowy, nerwowo przy tym gestykując.

Stanisław niestety nie miał najmniejszego pojęcia o zasadach udzielania pierwszej pomocy, dlatego też podświadomie był naprawdę bardzo szczęśliwy, że jednak nie musi młodemu człowiekowi w żaden sposób pomagać. Instynktownie wiedział, co każdy normalny człowiek powinien zrobić, gdy ktoś potrzebuje pomocy, ale o samych detalach, to już nie miał bladego pojęcia. Po kilku minutach bezczynności w związku z oczekiwaniem na karetkę lub policję, poszkodowany nagle wstał i potwierdziwszy, że nic mu nie jest, oddalił się z miejsca wypadku. Ktoś go próbował zatrzymać, ale nieskutecznie.

- Masz u mnie dług dzieciaku – zawołał. Popatrzył po twarzach zebranych, a potem na samochód sprawcy kolizji i ruszył do domu.

Tamto już minęło, było przeszłością, a to co teraz, było dopiero przed nim. Był teraz starszy i znacznie bogatszy w doświadczenia życiowe. Pomimo tego i tak nie bardzo wiedział czego ma się na miejscu spodziewać. Ten dźwięk, który przed momentem usłyszał za plecami sprawił, że instynktownie odwrócił się w stronę, skąd według niego dobiegał ten odgłos. Zdążył tylko zobaczyć, jak coś jasnego, wielkości człowieka spada właśnie z impetem na powierzchnię twardej miejskiej drogi. W oddali zobaczył samochód, który uderzył w to coś, a właściwie wyrzucił w powietrze, a co teraz leżało na asfalcie nieopodal tamtego samochodu. Auto sprawcy ujechało jeszcze kilkadziesiąt metrów i zatrzymało się z włączonym silnikiem. Był późny wieczór i pewnie dlatego w tej odległej od centrum Poznania bocznej uliczce nie było poza nim i uczestnikami wypadku żywej duszy. Była to jedna z tych ciemnych pośepnych ulic, w którą po zmierzchu lepiej nie zapuszczać się samemu. Stare, brudne i wymagające pilnego remontu kamienice ciągnęły się po obu stronach ulicy i niewątpliwie strzegły swoich tajemnic. Słabe, miejskie oświetlenie maskowało niedoskonałości okolicy. Czuć było, że wszędzie panuje bałagan i ta typowa dla takich miejsc aura. To była zła dzielnica, złe miejsce i zły czas.

Znalazł się tutaj niestety na własne życzenie, dlatego że bardzo śpieszyło mu się do domu, a idąc tą drogą mógł znacznie przyspieszyć swój powrót z pracy. Pierwszą rzeczą, na którą mimowolnie zwrócił uwagę był tył ciemnego samochodu, który stał z włączonym silnikiem na środku ulicy. Przy tym oświetleniu trudno było określić kolor. Mógł być czarnej barwy, szarej albo innych, ciemnych odcieni. Marki wozu też nie potrafił rozpoznać. Kierujący pojazdem chyba cały czas siedział za kierownicą. Nie wiedzieć czemu nie wyszedł sprawdzić, co się stało z osobą leżącą kilkadziesiąt metrów za jego autem. Wydało mu się to bardzo dziwne, ale zwałił to na karb stresu i szoku powypadkowego. Często zdarzało się, że sprawca uciekał z miejsca wypadku, ale teraz takie dywagacje nie miały dla niego żadnego znaczenia.

Teraz należało jak najszybciej dotrzeć do tego czegoś, co rozpędzony samochód pozostawił po sobie na powierzchni ulicy, a co podświadomie niemalże w jednej chwili rozpoznał. Instynktownie czuł, że to ludzkie ciało i że powinien się tam znaleźć jak najszybciej. Stanisław miał teraz do przebycia tylko w przybliżeniu jakieś kilkadziesiąt metrów, ale był to według jego oceny chyba najwolniej przebyty dystans w jego życiu. W normalnych warunkach przebiegłby ten odcinek w kilkanaście, no może w dwadzieścia sekund, ale teraz odnosił wrażenie, że biegnie zbyt długo i zdecydowanie za wolno. Miał bardzo złe przeczucia odnośnie ofiary.

Bardzo ciekawe jest to, w jaki sposób działa ludzki mózg w chwilach zagrożenia albo naprawdę dużego stresu? Jak to jest, że przy tak ograniczonej ilości danych potrafi wyciągać wnioski i snuć przeróżne refleksje, jednocześnie analizując wspomnienia i to wszystko w ciągu dosłownie kilku krótkich sekund? Gdy dobiegał do poszkodowanego, kątem oka zauważył jakiś nagły ruch w samochodzie. Stwierdził, że pewnie kierowca doszedł do siebie i chce ofierze udzielić pomocy, ale jak miał się za chwilę niestety przekonać sprawca wypadku zaplanował coś zupełnie innego.

W chwili, gdy już pochylał się nad ciałem leżącym na asfalcie, usłyszał za plecami głośny ryk pracującego na najwyższych obrotach silnika samochodu, a po chwili jeszcze głośniejszy pisk opon. Instynkt podpowiedział mu, aby się obejrzeć za siebie i spojrzeć za odjeżdżającym samochodem, ale widok jaki miał teraz przed sobą, zmroził mu krew w żyłach.

Na asfalcie, w kałuży krwi leżała ubrana na biało kobieta, chyba nastolatka. Tak naprawdę to trudno było ocenić jej wiek, gdyż krew, która wydobywała się z jej ust zalała całą dolną połowę twarzy. Leżała na plecach ze skreconą w prawo szyją. Jej długie zmierzwione włosy leżały częściowo na powierzchni drogi, jak i na czole i oczach. Musiał najpierw odgarnąć dłonią włosy z jej czoła, aby zobaczyć z kim ma do czynienia. Jak się po chwili okazało krew wcale nie wypływała z jej ust, lecz z przerwanej tętnicy, którą kobieta dociskała lewą ręką. Ciemnoczerwona ciecz przepływała pomiędzy jej palcami spływając na powierzchnię drogi, i co jakiś czas zraszała lekką strużką okolice ust. Wokół ciała utworzyła się na razie nieduża czerwona kałuża, ale Stanisław wiedział, że będzie się ona powiększać, a to mogło oznaczać tylko jedno. Nie miał odwagi dokończyć myśli.

- Słodki Jezu – wystękał przerażony, a właściwie zdruzgotany sytuacją.

Kobieta spojrzała na niego lekko odchyliła głowę w lewo, żeby mieć lepsze pole widzenia, a po chwili drugą rękę skierowała w jego stronę w wyraźnym geście prośby o pomoc.

Pochylił się nad nią nie bardzo wiedząc, co ma zrobić. Kilkanaście lat temu, gdy po raz pierwszy był świadkiem wypadku i zupełnie nie wiedział, jak ma się wówczas zachować, to postanowił wtedy zaliczyć szkolenie z udzielania pierwszej pomocy. Przeczynał, że taka wiedza i umiejętności mogą mu być w przyszłości przydatne. Teraz był już mądrzejszy o wiedzę nabytą na tamtym kursie, ale zupełnie nie był przygotowany na coś takiego. Wiedział, jak się przeprowadza



sztuczne oddychanie, zakłada opaskę uciskową, czy unieruchamia kończynę, ale to wyraźnie go przerastało.

- Myśl, Stachu, myśl! – próbował się mobilizować, chociaż chęci oraz dobrej woli mu nie brakowało.

Uznał, że powinien zacząć od rozerwanej tętnicy. Postanowił zatamować czymś krew, ale okazało się, że nie miał czym. Rozejrzał się szybko wokół siebie w poszukiwaniu czegokolwiek, co mógłby wykorzystać. Niczego takiego jednak nie zauważył. Wiedział, że w kieszeniach nie ma nic, co mogłoby posłużyć za tampon, a i u rannej na pierwszy rzut oka niczego nie dostrzegł. Jeszcze raz rozejrzał się na boki. W odległości około pięciu metrów na krawędzi drogi leżała damska torebka, ale ze względu na odległość postanowił nie zostawiać poszkodowanej nawet na chwilę bez opieki. Po sekundzie jednak stwierdził, że może w jej torebce znajdzie coś, co będzie się nadawało. Skoczył w tym kierunku i już po sekundzie był z powrotem.

Ręce mu się bardzo trzęsły, a musiał rozpiąć zamek błyskawiczny przy torebce, aby dostać się do środka. Otworzył ją i zaczął pośpiesznie grzebać we wnętrzu i pobieżnie oglądać przedmioty, które wpadły mu w ręce. W końcu zdenerwowany wysypał zawartość torebki na asfalt. Rzucił pobieżnie wzrokiem na przedmioty, które wypadły. Niestety oprócz portfela z jakimiś dokumentami i kosmetyków, nic więcej nie znalazł. Zgarnął obiema dłońmi wszystkie rzeczy, na przysłowiową stertę i położył przy nich torebkę kobiety.

- Pomocy! – usłyszał. – Pomóż mi proszę. Słabo mi, nie mogę się ruszać. Co mi jest, na Boga? Przejechał mnie samochód? Tylko po co, po co on to zrobił? Tak nie można, gdzie on jest? – Kobieta nadal lewą dłonią uciskała ranę.

- Zaczekaj i leż spokojnie, postaraj się nie ruszać, zadzwonię po pomoc. Sekundkę, momencik, zaraz dzwonię!

Sięgnął po swój telefon, ale nie mógł go wydobyć z przedniej kieszeni spodni. Będąc w pozycji klęczącej kieszeń spodni była tak ściągnięta, że nie mógł włożyć do niej palców. Musiał więc jak najszybciej wstać. Szybkim ruchem wydobył komórkę z kieszeni i wystukał palcami na klawiaturze numer 112. Niestety numer był zajęty. Odczekał jeszcze kilkanaście sekund, jednocześnie wracając do poprzedniej pozycji. Włączył na głośno mówiący i odłożył telefon na drogę, zaraz obok swojego prawego kolana. Klęczał teraz tuż obok poszkodowanej. Postanowił oderwać rękaw koszuli i z tego zrobić prowizoryczny tampon. To był jedyny pomysł jaki przychodził mu teraz do głowy. Niestety nie mógł urwać tego głupiego rękawa. Nie miał zupełnie siły. Szarpał się bezradny przez kilka sekund. W końcu rozerwał guziki od koszuli i zdjął ją całkowicie. Przydepnął nogą mankiet i najsilniej jak potrafił szarpnął materiałem. Usłyszał odgłos darcia i już po chwili trzymał w obu dłoniach spory kawałek materiału, który szybko zwinął w prowizoryczny tampon, aby przyłożyć go kobiecie do rany.

Pochylił się nad nią, delikatnie odciągnął jej dłoń od mocno krwawiącej rany i silnie docisnął zwitek materiału. Przez ten króciutki czas, gdy nikt nie dociskał rany z tętnicy siknął czerwony strumień. Kobieta nie protestowała, gdy odciągał jej lewą rękę i układał delikatnie wzdłuż ciała. Zaskoczyła go kompletnie, gdy nagle drugą ręką szybko złapała go za kołnierzyk jego koszuli, którą nie wiadomo po co z powrotem założył. Przyciągnęła go do siebie z siłą jakiej nie spodziewałby się po kobiecie i to jeszcze poważnie rannej. A może to on był tak słaby i bezwolny, że wydało mu się, że to ona ma aż tyle siły. Jego twarz znajdowała się teraz od jej ust zaledwie o kilkanaście centymetrów. Nigdy do tej pory nie widział, aż tak przerażonego człowieka. Postanowił powiedzieć coś sensownego, aby ją uspokoić.

- Spokojnie, musimy tylko zatrzymać to krwawienie, a wtedy wszystko będzie dobrze. Zobaczysz poradzimy sobie, to nie jest jakaś poważna rana. Wierz mi, widziałem gorsze.

Kobieta chyba w ogóle go nie słyszała. Oddychała spazmatycznie i zaczęła wodzić oczami w przeróżnych kierunkach, ale stopniowo jej wzrok się uspokajał, choć oddech nadal był nierówny i chaotyczny. Spojrzała w jego stronę i patrzyła teraz tylko na niego, jak gdyby był jedyną poza nią istotą na tym świecie. Leciutko kręciła głową na boki nie spuszczając z niego wzroku.

- Ja umrę, czuję to. Czemu on mi, to zrobił? Yyyy! – głośno westchnęła. – Dlaczego tak się stało, przecież miało być inaczej, zupełnie inaczej. O Boże, ja umrę, ja nie chcę jeszcze umierać.

Barwa jej głosu powoli zmieniała się wraz z ilością wypowiedzianych słów. Zrobiła przerwę i przez krótką chwilę nic nie mówiła, jak gdyby zbierała myśli.

- Czuję, że tak będzie. Proszę!... Wiem, że tak będzie. Ratuj mnie błagam cię, ratuj mnie, bo jak nie to... to pożałujesz! Słyszysz mnie gnoju, jeżeli mi nie pomożesz, to pożałujesz, czy mnie słyszysz ty, ty... palancie?

Coraz trudniej było zrozumieć, co do niego mówi, a zdania robiły się coraz mniej składne. Stanisław nie miał bladego pojęcia, co ma jej powiedzieć. Poczł się nagle jak skończony idiota. Było to uzasadnione odczucie, gdyż miał kompletną pustkę w głowie.

- Strasznie dużo gadasz, jak na ranną – wymsknęło mu się to kretyńskie zdanie. – O Jezu, przepraszam – szybko dodał.

Ponownie chyba nie usłyszała, co do niej powiedział. Nie patrzyła już na niego, tylko gdzieś w odległą przestrzeń, której nie potrafiłby w żaden sposób określić. Stanisławowi wydawało się, że za czymś wodzi wzrokiem. Oczywiście wiedział, że to tylko złudzenie, ale było tak silne, wręcz namacalne, że wierzył iż kobieta coś widzi.

- Nie umrzesz dziewczyno, zobaczysz wszystko będzie dobrze, zaraz przyjedzie pogotowie. – Skłamał, aby ją uspokoić. Niemy telefon nadal leżał nieopodal, a po drugiej stronie pod 112 nadal nikt nie

reagował na jego błagania o pomoc. – Kurwa, muszę coś wymyśleć!  
– wyszeptał pod nosem. Walczyły w nim teraz dwa uczucia:  
wściekłość z bezradnością.

Ranna dziewczyna wyraźnie słabła. Jej do tej pory tak silna dłoń trzymająca cały czas jego kołnierzyk z wielką mocą i ciągnąca go do siebie, opadła teraz swobodnie na asfalt. Kałuża brunatnej krwi na drodze, powoli, lecz nieubłagalnie stawała się coraz większa.

- To moja, moja wina, przepraszam, tak bardzo przepraszam, co ze mną teraz będzie? Nie chcę tak kończyć – kobieta zaczęła cicho jęczeć. – Za młoda, za młoda...

- Nie umrzesz mi tu, przysięgam, że mi tu nie umrzesz – przerwał i spojrzał na prawo, potem w lewo szukając jakiegoś wsparcia. – Boże kochany ty nie możesz umrzeć. Za mądry jestem, żebym się na to godził. A jak nie, to możesz się później zem... Chryste, co ja plotę.

Mówił to szeptem, ale jakimś dziwnym, może szóstym zmysłem wyczuwał, że ona go słyszy. W oczach, do tej pory bardzo trzeźwych pojawiły się łzy. Zaszklily się i z kącików oczu wypłynęły łzy. Nie trwało to długo. Jej wejrzenia przechodziły już przez różne stany, ale teraz wzrok zaczynał powoli stawać się jakiś dziwnie nieobecny. Widać było, że powoli zaczyna tracić świadomość.

- Dziewczyno, nie zostawiaj mnie samego! Bądź ze mną, bądź... zostań ze mną nawet na zawsze! Jeszcze trochę wytrzymaj. Zaraz na pewno przyjedzie jakaś pomoc. Słyszysz mnie? Proszę, błagam nie zostawiaj mnie samego!

W telefonie nadal było słychać ten cholernie irytujący sygnał zajętości. Wiedział, że powinien zrobić wszystko, co tylko możliwe, aby kobieta nie straciła przytomności. Pamiętał jeszcze z kursu, że to jest naprawdę bardzo ważne.

- Ludzie, niech nam ktoś pomoże!!! – rozdarł się na cały głos, ile tylko miał sił w piersiach.

- To na nic – wyszeptała uśmiechając się delikatnie.

- Na Boga niech nam ktoś pomoże! – Nie zwrócił uwagi na jej słowa.  
– Przecież jesteście ludźmi, na miłość Boską!! Ludzie, ktoś musi nam pomóc!!!

Darł się teraz jak opętany. Nagle poczuł na swych ustach słony smak. Domyślił się, że płacze, gdyż było mu tak bardzo przykro, płacz pojawił się bezwiednie. Raz z powodu tego, co tu się działo, a dwa z racji własnej, czysto ludzkiej bezradności. Nie zastanawiając się, co robi anulował połączenie i spróbował jeszcze raz, ale szybko odłożył telefon na bok, bo kobieta zaczęła nagle kasłać krwią i jednocześnie zanosząc się płaczem próbowała coś do niego powiedzieć. Prowizoryczny tampon całkiem przesiąkł i teraz już nie stanowił żadnej przeszkody dla żywotnej energii wypływającej z rany. Kałuża niestety zaczynała się coraz szybciej i szybciej powiększać.

- To moja wina nie powinnam, co te... To takie strasz...ne.

- Zraz przyjedzie lekarz, zaraz, zaraz – zupełnie nie wiedział, co ma do niej mówić. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Wiedział jednak, że musi coś do niej gadać, cokolwiek, choćby z racji tego, żeby kobieta nie straciła przytomności.

- Znajdź mojego... znajdź go proszę, muszę ci powiedzieć, kto to zro... Musisz wiedzieć, że ja jestem w... – przerwała, zrobiła głęboki wdech, jakby przeczuwała, jakby wiedziała, że to jej ostatni. Krótką chwilę delectowała się powietrzem wciągniętym do płuc. Uśmiechnęła się nawet czule i delikatnie, a po upływie kilku sekund, jak gdyby już zadowolona z siebie wypuściła wolno powietrze, przestała oddychać, powoli zamknęła oczy i odeszła.

- Raz, dwa, trzy – liczył na głos uciski na klatkę piersiową, po czym z większą siłą zawołał. – Ludzie proszę, pomocy! – krzyczał, ile tchu w piersiach. Po chwili zauważył, że nie dociska, już tamponu do rany, bo przecież obie ręce ma zajęte. Szybko przerwał uciski, zdjął koszulę i docisnął ją do szyi kobiety swoim prawym kolanem. Zaraz potem kontynuował resuscytację.

- Pomóżcie nam! – rozejrzał się na boki. Nie było żadnego odzewu.

- Szesnaście, siedemnaście, osiemnaście... Pomocy na Boga, ludzie pomocy!

Za plecami usłyszał stłumiony sygnał nadjeżdżającej karetki pogotowia albo policyjnego radiowozu. Widocznie ktoś z mieszkańców zareagował na jego okrzyki i zadzwonił po pomoc. Jednak o dziwo sygnał zamiast się nasilać zaczynał powoli cichnąć. Po chwili nic już nie słyszał. Był już bardzo zmęczony, ręce mu mdlały, wiedział, że długo już tak nie wytrzyma.

- Jeden wdech, drugi wdech. Raz, dwa, trzy... Boże, jak mi nie pomożesz, to, to zobaczysz! Uratuj ją, bo przestanę w ciebie wierzyć. Wyrzeknę się – sapał mówiąc i prawdę mówiąc on sam tylko wiedział, co mówi.

Gdzieś z tyłu usłyszał nagle cichy odgłos toczących się powoli kół jakiegoś pojazdu podjeżdżającego na wyłączonym silniku. Pierwsza myśl, że to jest pewnie karetka lub też policyjny radiowóz, a kiedy usłyszał odgłos powolnych kroków zbliżających się do niego, był święcie przekonany, że nadciąga tak długo oczekiwana pomoc. Zdążył tylko powiedzieć:

- Jest pomoc. Bogu dzięki wreszcie ktoś... – gdy nagle coś twardego spadło z impetem na jego głowę.

Nie stracił przytomności, ale zamroczony upadł na ciało kobiety. Poczuł jak czyjeś ręce obracają jego głowę, ale ponieważ oczy miał zamknięte, więc nic nie był w stanie zobaczyć. Po sekundzie usłyszał cichy, stłumiony, pojedynczy odgłos jakby tępego uderzenia. Ciało kobiety poderwało się w tym momencie błyskawicznie, jakby pobudzone jakimś impulsem elektrycznym i zaraz powtórnie znieruchomiało. Usłyszał wyraźnie odgłos oddalających się szybko kroków, trzask zamykanych drzwi samochodu i dźwięk odpalanego silnika. Leżał z twarzą na piersi kobiety. Nie wyczuwał rytmu pracującej przy oddechu klatki piersiowej ani nie słyszał bicia jej serca. Czuł za to urzekający zapach jej ciała, zapach jej perfum. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale teraz wyczuwał, że jest bardzo intensywny, ale jednocześnie niezwykle charakterystyczny i delikatny. To była wyższa półka w świecie perfum, a taki flakon mógł kosztować nawet połowę jego wypłaty. Szybko przegonił te pozbawione sensu rozważania. To przecież akurat było w tej chwili najmniej istotne.

Teraz liczyło się tylko jedno. To było oczywiste, że musi jak najprędzej dojść do siebie. Powinien się ocknąć i jak najszybciej nabrać potrzebnej mu w tej chwili energii. Tylko tyle i aż tyle. Wszystko było teraz w jego rękach. Wiedział, że musi wziąć się w garść i natychmiast pomóc tej biedaczce. Podniósł się powoli, bo jego ciało protestowało, spojrzał na leżącą ofiarę i prawą ręką dotknął miejsca, gdzie jak mu się zdawało czaszka mu zaraz pęknie, a mózg wypłynie na zewnątrz. Namacał palcami z tyłu swojej głowy dużego guza oraz coś lepkiego, ciepłego, co zdawało się otaczać miejsce, które tak bardzo go bolało.

- Bieź się do cholery w garść Stachu, tak trzeba! – powiedział głośno do siebie i szybko rozpoczął przerwana przez nieznanego agresora resuscytację. – Chwilę później nocną ciszę ponownie przeniknęły jego chaotyczne słowa:

- Raz, dwa, trzy, cztery...

- Panie! Proszę pana. Niech się pan szybko odsunie! Szybko! Karol, dawaj defibrylator – nagle usłyszał jakiś męski głos tuż obok siebie.

Czyjeś mocne ręce odciągnęły go od kobiety. Teraz nie brał już w tym udziału. Ratownicy rozpoczęli resuscytację, ale on wiedział, że to nic nie da, że jest już za późno. Odwrócił się i chwilę obserwował, jak dwóch ratowników udziela kobiecie wzorcowej wręcz pierwszej pomocy. Dziwne, że nie usłyszał warkotu silników dwóch pojazdów, które nie wiadomo, kiedy podjechały i teraz stały przodem do miejsca wypadku z włączonymi wszystkimi światłami. Pomoc, o którą się wręcz modlił nareszcie dotarła. Policyjny radiowóz i duży ambulans wreszcie były na miejscu. Widocznie ktoś z miejscowych się zlitował i wezwał pomoc.

- Resuscytacja zupełnie, jak na pieprzonym kursie! – przemknęło mu przez głowę, gdy patrzył na ratowników uwijających się jak w ukropie. Nie był jednak w nastroju, aby podziwiać czyjąś pracę. Jego ciało dopiero teraz zaczynało odczuwać skutki tego, z czym się mierzył do tej pory.

- Proszę pana, proszę pójść ze mną do radiowozu – usłyszał gdzieś z boku. – Nic tu już po panu. Pan już zrobił wszystko, co było w pańskiej mocy. Proszę zostawić sprawy chłopakom z pogotowia. Oni się znają na rzeczy.

Nieznany człowiek w mundurze złapał go pod ramię i bardzo powoli zaprowadził do służbowego samochodu. Teraz dopiero zauważył, że obok karetki stoi parę osób, a w kilku oknach ludzie z zaciekawieniem obserwują, co się dzieje.

Patrzył jak jeden z ratowników rozcina kobiecie nożyczkami sukienkę na piersiach, aby móc zamocować elektrody. Materiał z sukni został odciągnięty na boki, by ukazać kształtne piersi zamknięte w beżowym staniku. Jedna elektroda powędrowała tuż nad prawą pierś, a druga pod lewą. Na sygnał urządzenie włączono, a ciało



podskoczyło i powtórnie znieruchomioło. Ratownicy natychmiast przystąpili do masażu serca i sztucznego oddychania. Na jego oczach jeszcze dwa razy powtórzyli defibrylację i wszystkie związane z tym czynności. Zauważył też, że na szyi założyli opatrunek.

Po wielu minutach intensywnej akcji ratownicy w końcu odpuścili. Wówczas to usłyszał z ust jednego z nich.

- Kończymy Jarek, nie ma sensu ciągnąć dalej, to koniec. Zapisz proszę w raporcie. – odczekał, aż kolega wyjął z torby notatnik i zaczął dyktować. – Godzina 22:16, stwierdzono zgon osoby poszkodowanej w wypadku drogowym. Miejsce wypadku: Poznań, ulica Szafirowa, na wysokości posesji o numerze 49. Ofiara to raczej młoda kobieta, o trudnym w tej chwili do ustalenia wieku. Przyczyna zgonu to wykrwawienie oraz obrażenia wewnętrzne. Akcja resuscytacyjna trwała dwadzieścia siedem minut i nie przyniosła spodziewanych efektów. Zespół medyczny trzykrotnie zastosował defibrylację, masaż serca oraz sztuczne oddychanie, niestety bez spodziewanych efektów. Mówiąc krótko, próba przywrócenia czynności życiowych kobiety nie powiodła się.

Po usłyszeniu tych słów Stanisław podniósł się z fotela w radiowozie i powoli podszedł do ciała kobiety. Jeden z ratowników odchodził już ze sprzętem w rękę w stronę swojego pojazdu. Chciał teraz na spokojnie, raz jeszcze przyjrzeć się ofierze wypadku, aby zapamiętać rysy twarzy człowieka, któremu nie był w stanie pomóc. Ofiara leżała na wznak, w miejscu, gdzie ją wcześniej znalazł. Nikt jej nie przeniósł, nikt też oprócz niego i ratowników nie ruszył ciała.

Pewnie służby takie mają procedury w przypadku zgonów, pomyślał i spojrzał kątem oka na dwóch mężczyzn oraz kobietę stojących po drugiej stronie ulicy. Ujrzał zaciekawione twarze, w których jedyne co się odbijało, to właśnie chora ciekawość, wręcz wścibskość. Chciał im wykrzyknąć, że to ich wina. Że ta kobieta żyłaby, gdyby wcześniej wezwali pomoc. Po zastanowieniu uznał jednak, że nie są tego warci.

- Hieny! – warknął pod nosem. – Pieprzone hieny cmentarne!

Kilka minut później jeden z ratowników podszedł do ciała, pochylił się i zaczął coś przy nim robić. Zasłonił mu pole widzenia, a on odwrócił głowę, bo nie chciał zrównać się poziomem z tamtymi głodnymi sensacjami gapiami. Podszedł dopiero wtedy, gdy ratownik wrócił do samochodu. Tym razem to on pochylił się nad ciałem, a kilka sekund potem przykucnął. Kobieta miała teraz ręce ułożone wzdłuż boków, a twarz przykrytą nierozłożonym jeszcze całkowicie workiem na zwłoki. Jej jasna sukienka niemalże cała była umazana krwią. Lekko uchylił krawędź, spojrzał na nią i szybko cofnął rękę. Nie mógł znieść widoku, który przed sobą zobaczył. Ponownie jednak uniósł fragment materiału odsłaniając twarz denatki. Coś kazało mu przyglądać się przez chwilę tej nieznanym kobiecie, analizować jej wygląd, przyjrzeć się ubiorowi, choć zdrowy rozsądek nakazywał uciekać stąd, jak najdalej.

Boże, niech ten dzień już się wreszcie skończy. Proszę, cię. Wiem, że wszystko co się zaczęło, kiedyś musi się zakończyć, prowadził w myślach rozmowę z Bogiem. Był zdruzgotany, cała ta sytuacja wyraźnie go przerosła, a on nawet nie miał odrobiny energii, aby spróbować z tym walczyć. Chciał teraz tylko jak najszybciej znaleźć się w domu. Tam by się nałapał piwa albo wódki i nieprzytomny zasnął tam, gdzie urwałby mu się przysłowiowy „film”. Wiedział, że będą go nawiedzać wspomnienia, że nie odegna się od koszmarów. Rozumiał też, że jego życie od teraz będzie już zupełnie inne.

## **Rozdział pierwszy.**

*„Jesteśmy z tego samego materiału,  
co nasze sny”.*

Stanisław siedział z przodu w niemal pustym tramwaju i zastanawiał się, co go czeka na komendzie. Dostał wezwanie wczoraj, aby stawiał się w celu złożenia zeznań. Rozejrzał się uważnie po starym, brudnym wagonie. Jechały z nim tylko dwie osoby. Para staruszków siedzących dwa rzędy dalej nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Rozmawiali ze sobą szeptem na tylko im znany temat. Odwrócił głowę i skupił uwagę na widoku za oknem.

- Stasiu – usłyszał nagle gdzieś za plecami swoje imię wypowiedziane kobiecym głosem.

Odruchowo odwrócił głowę i spojrzał za siebie. Nie zauważył nikogo oprócz wspomnianej pary. Przyjrzał się uważnie kobiecie, ale po chwili stwierdził, że to niemożliwe, aby starsza kobieta знаła jego imię. Tym bardziej, że w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Powrócił więc do śledzenia tego, co za oknem.

Po kilku sekundach ponownie usłyszał swoje imię wypowiedziane tym samym głosem.

- No nie, co jest? – pomyślał i szybko obrócił się na plastikowym siedzisku. Kątem oka zobaczył coś białego na końcu wagonu, ale nie miał czasu, aby przyrzeć się temu dłużej.

Odwracając się tak energicznie, uderzył ręką starszą panią przechodzącą tuż obok i kierującą się do najbliższych drzwi.

- Oj, przepraszam – powiedział natychmiast do kobiety i na chwilę spojrzał na nią przepaszająco. Kobieta pokręciła głowę z dezaprobatą i po zrobieniu kilku kolejnych zatrzymała się tuż przy drzwiach. Stanisław obrócił głowę mocniej i teraz spoglądał na tył pojazdu, ale tam już nic nie było.

Musiało mi się zdawać, że coś tam widziałem, pomyślał. Tramwaj się zatrzymał, drzwi otworzyły i został sam. Kolejny przystanek będzie jego. Jeżeli nie chce zafundować sobie spaceru, to powinien wkrótce opuścić to miejsce. Wstał ociężale i tak jak tamta para skierował się do wyjścia. Złapał się oparcia fotela i rozstawił szeroko nogi. Nie zamierzał polecieć do przodu, gdy tramwaj zacznie hamować.

- Stasiu – znowu to samo, ale teraz już miał pewność, że się nie przesłyszał. Tym razem nie zareagował nerwowo. Nadal stał nieruchomo, jak gdyby nawoływanie do niego nie dotarło. Po chwili się powtórzyło. Poczuł ciarki na plecach. Nadal tkwił nieruchomo, ale teraz jego wzrok powędrował w stronę okien. Liczył na to, że ujrzy jakieś odbicie. Na razie nie interesował się z kim ma do czynienia. Chciał tylko ujrzyć nadawcę. Włosy natychmiast mu się zjeżyły na głowie, gdy w jednej z szyb ujrzał kobietę siedzącą na jednym z fotelików. Miała długie włosy i była ubrana na biało. Siedziała nieruchomo z nogą założoną na nogę Stanisław zaczął się bać. Coś mu podpowiadało, żeby obrócić głowę i sprawdzić, co się dzieje, ale strach zwyciężył. Nie trzeba było być Sherlockiem Holmesem, żeby domyślić się z czym ma do czynienia. Szarpnęło jego ciałem, gdy tramwaj się zatrzymał, a drzwi otworzyły. Sekundę później był już na zewnątrz i bez oglądania się za siebie ruszył w stronę komendy.

- Tak dobrze, oczywiście, że rozumiem, ale mam właśnie teraz przesłuchanie świadka wypadku. Zrozumiałem, panie komisarzu, już dobrze, jak mus to mus. Tak jest, oczywiście panie komisarzu, przekażę sprawę Pawłowi Lewandowskiemu. Nie, na pewno sobie

poradzi, przecież w końcu kiedyś musi zacząć. Do widzenia szefie, no dobra już lecę.

- Przerwywamy przesłuchanie? – zapytał Stanisław policjanta, który przepytował go od godziny, a który to przed chwilą prowadził tę dziwną i poniekąd trochę enigmatyczną rozmowę przez telefon. Nie tak to sobie wyobrażał.

- Niestety tak, siła wyższa. Muszę uciekać, ale to nic. Zajmie się panem mój kolega, który zaraz tu przyjdzie. Niestety tak to u nas bywa, samo życie – wstał od biurka, uściśnął mu dłoń i szybko wyszedł rzucając przez ramię.

- Do widzenia.

Stanisław właśnie został sam w tym małym, obskurnym pokoiku, na pierwszym piętrze Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu. Po minucie wpatrywania się w blat stołu ocknął się i z nudów zaczął studiować wnętrze. Pokój był dość skromnie urządzone. Wymiary to jakieś cztery, na trzy metry, jak szybko określił. Na wprost drzwi, znajdowało się duże plastikowe okno, pożółkłe firany, brązowe zasłony. Z prawej strony od wejścia stała dwuskrzydłowa, masywna zamknięta szafa, w kolorze oliwkowym, a pod oknem stolik z jakimiś papierzyskami. Na środku pokoju duże biurko w parze z czarnym obracającym krzesłem. Na biurku leżał laptop, kilka kartek papieru, ołówek, długopis. Przy krawędzi blatu stała niewielka taca z butelką wody i jedną od dawna nieużywaną zakurzoną szklanką. I w końcu on sam, Stanisław Sowalski, posadzony i pozostawiony samemu sobie na drewnianym krześle, po drugiej stronie biurka

Rozglądał się niecierpliwie po pokoju i czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Dziś minęły dokładnie cztery dni od dnia tamtego tragicznego w skutkach wypadku, którego na jego nieszczęście był świadkiem, a właściwie uczestnikiem. Wezwanie z policji do złożenia zeznań dostał listownie, ale zaraz na drugi dzień, a właściwie gwoli

ściskości, to w dniu, w którym wrócił do domu ze szpitala skontaktowano się z nim telefonicznie w sprawie jego ewentualnego przyścia na komendę. Policjant, z którym wtedy rozmawiał, był w stosunku do niego bardzo grzeczny. Usłyszał od swego rozmówcy, że niestety sprawa jest z gatunku tych trudnych, ponieważ informacje jakich im udzielił na miejscu, odnośnie wyglądu pojazdu i rysopisu sprawcy, były niestety bardzo ubogie w szczegóły. Tamten policjant miał absolutną rację, rzeczywiście przesłuchanie jakiego był uczestnikiem jeszcze w szpitalu nie wniosło zbyt wiele do sprawy. Niestety był jedynym naocznym świadkiem wypadku i tylko na jego zeznaniach można było bazować. Ponownie powróciły wspomnienia, których tak naprawdę nie chciał.

- Jak pan się czuje? – zapytał policjant, który zaprowadził go wtedy, do radiowozu w chwili, gdy ratownicy medyczni przystąpili do resuscytacji.

- W miarę dobrze, tak fizycznie czuję się dobrze, chociaż bywało lepiej. Niestety gorzej z psychiką. Jestem cały roztrzęsiony i boli mnie potwornie głowa, o mam nawet jakąś ranę, ale tak... poza tym to chyba wszystko w porządku – zdawał sobie sprawę, że nie mówi składnie i że praktycznie bełkocze, ale tak trudno było mu zebrać myśli. Sięgnął odruchowo ręką do miejsca, w które został uderzony i szybko cofnął ją ze względu na potworny ból, który odczuł, gdy tylko dotknął mokrej i pulsującej rany.

- Oła! – syknął z bólu i przyjrzał się swoim lepkiem teraz od krwi palcom, które sekundę wcześniej trafiły na ranę z tyłu głowy.

Kilka minut wcześniej wytarł niejako odruchowo swoje umazane krwią kobiety dłonie w spodnie i koszulę. Teraz przez sekundę zastanawiał się czyją krew ma na palcach.

- O pan krwawi! Dobrze się pan czuje? Jest pan ranny? Nie mogę niestety oderwać żadnego z ratowników od wykonywanych

czynności, aby panu pomógł.

- Panie, tam umiera kobieta. U mnie jest dobrze, ja wytrzymam.

- A może ja zerknę? Potrafię założyć prosty opatrunek.

- Nie, nie potrzeba, zaczekam.

- Może to i lepiej. W końcu co fachowiec, to jednak fachowiec. Nie będziemy chłopakom teraz przeszkadzać, niech robią swoje, ale gdy skończą, to zawołam któregoś, aby pana zbadał i opatrzył.

- Pan może tak spokojnie o tym mówić? – Spojrzał na policjanta, zniesmaczony. – Czuję się jakbym, to ja tam leżał zamiast tamtej pani, a pan to mówi tak jakby w grę wchodziła – przez chwilę szukał właściwego porównania – kradzież lizaka w supermarkecie!

- Rozumiem, że jest pan bardzo zdziwiony, ale to taka specyficzna praca, że z czasem nabiera się totalnej znieczulicy. Z boku może się to wydać chore, ale proszę mi wierzyć, że tak trzeba.

- Ładne mi trzeba. Tak nawet nie można myśleć. Co też pan mówi?

- Drogi panie. – policjant pochylił się w jego stronę. – Wyobraża pan sobie lekarza, strażaka, czy policjanta, którzy chodziliby roztrzęsieni na granicy rozpaczki w miejscu tragedii, zamiast rzeczowo, chłodno i w sposób profesjonalny podejść do wypełniania swoich zawodowych obowiązków? Dla ratowania zdrowia, a nawet życia ludzkiego?

- W sumie, to jednak nie. Myślę, że chyba rzeczywiście ma pan rację. Ale to jest wręcz tragiczne, gdy nie można nic zrobić. Zawsze mnie przerażały takie sytuacje. To tak, jakby pan trzymał za rękę kogoś wiszącego nad przepaścią, a później go puścił, bo zabrakło sił. Przepraszam pana bardzo za moje słowa, ale naprawdę nie potrafię tak stać i patrzeć jak ta kobieta kona.

Policjant kiwnął głową i po chwili zapytał:

- Ma pan przy sobie jakiś dokument? Procedury wymagają od nas, abym spisał pańskie dane. Co by się tutaj nie działo, to tak właśnie trzeba.

- Tak oczywiście, mam dowód osobisty – podał policjantowi dokument i nastawił się na dalsze pytania.

Policjant spisał jego personalia, po czym oddał mu plastikowy prostokąt.

- Czy poszkodowana jest pana bliską, czy to może członek rodziny albo inaczej, czy pan ją w ogóle zna?

- Poszkodowana?! Chyba raczej ofiara – przerwał natychmiast zdając sobie sprawę, że niepotrzebnie i niegrzecznie naskoczył na policjanta. – Przepraszam powtórnie, a wracając do pytania. Pierwszy raz widziałem tę kobietę na oczy.

Policjant usatysfakcjonowany jego odpowiedzią, odszedł od radiowozu i zostawił go samego. Podeszedł do pary ratowników, którzy nadal intensywnie udzielali pomocy poszkodowanej kobiecie. Chwilę stał nad nimi, bacznie obserwując cały przebieg akcji, coś do nich powiedział, a gdy z ust jednego z nich padły pamiętne słowa o zakończeniu resuscytacji, zawrócił z powrotem do swojego samochodu. Jeden ratowników, najwidoczniej poinformowany, o tym, że Stanisław jest ranny skierował się powoli ku niemu, pozostawiając swojego kolegę przy ciele kobiety. Idąc zaczął powoli, niemalże z namaszczaniem zdejmować zakrwawione gumowe rękawiczki. Gdy tylko zapisał to wszystko, co należało podeszedł do niego.

- Witam pana, na imię mam Jarek. Bardzo mi przykro, ale nie udało nam się uratować tamtej pani – odwrócił na chwilę głowę i westchnął ciężko. – Taka młoda osoba, a my niestety nie mogliśmy nic zrobić.



Ratownik patrzył chwilę na swojego kolegę jak wyciąga czarny worek i zaczyna go powoli rozkładać. Zrobił głęboki wdech i odwrócił głowę, jakby nie mógł znieść tego widoku.

- Każdy z nas prędzej, czy później skończy w takim. – Stanisław nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział.

Stał teraz obok niego człowiek, który przez kilkanaście minut próbował robić to, co on robił wcześniej. Przez moment poczuł z ratownikiem pewną więź. Czuł nawet sympatię do młodego mężczyzny. Obydwaj próbowali w mniej lub też bardziej profesjonalny sposób ratować życie. Obydwaj ponieśli sromotną klęskę. Stanisław doskonale rozumiał, co tamten teraz czuje. Postanowił powiedzieć coś ciepłego, ale z ust wypłynęły całkowicie odmienne słowa:

- I tylko po to pan tu do mnie przyszedł, aby mi to powiedzieć? – zapytał i pojął, że nadal jeszcze jest rozdrażniony.

- Nie, oczywiście że nie – kiwnął głową energicznie kilka razy na boki i ponownie spojrzał na ciało. – Policjant poinformował nas, że jest pan ranny, dlatego tu jestem.

Stanisławowi zrobiło się teraz zwyczajnie wstyd, dlatego nie podjął dialogu. Wskazał tylko palcem miejsce z tyłu głowy.

- Proszę pokazać. W co pan tak walnął głową? No cóż muszę pana zabrać do szpitala, ta rana wymaga szycia, a poza tym trzeba panu zrobić prześwietlenie, bo rana na głowie to nie są przelewki. Na razie wszystko, co mogę teraz dla pana zrobić, to zabezpieczyć ranę na czas przejazdu do szpitala.

- Tak oczywiście, ale zanim pan zacznie, to koniecznie muszę coś jeszcze zrobić – wstał szybko, gdyż przeczuwał, że ratownik zechce mu przeszkodzić.

- Co takiego? Proszę lepiej nigdzie nie chodzić, jest pan przecież ranny. Nie wolno panu, słyszy pan co mówię?

- Muszę ją zobaczyć. Rozumie pan? Po prostu coś mi karze na nią po raz ostatni spojrzeć.

- Przecież pan ją widział jeszcze przed nami.

Ratownik podniósł się szybko, jakby chciał mu przeszkodzić, ale zrezygnowany machnął ręką i powiedział:

- Lepiej dla pana, żeby pan sobie odpuścił.

Po dłuższej chwili Stanisław powrócił do ambulansu, strasznie roztrzęsiony oraz zaszokowany zastanym widokiem.

- Miał pan rację, trzeba było tego nie robić, ale coś mnie do tego strasznie ciągnęło. Nie wiem, czy chora ciekawość, czy coś innego. Nie wiem co mnie podkusiło, ale teraz będę miał kaca moralnego, być może do końca życia. Żywy człowiek wygląda zdecydowanie inaczej niż martwy, choć upłynęły dosłownie minuty. To naprawdę straszne. Ma pan może dla mnie jakiś lek na uspokojenie?

- To przejdzie, zobaczy pan. Czas goi wszystkie rany. Gdybym panu opowiedział, jak przeżyłem moją pierwszą akcję, to by mi pan nie uwierzył, ale oczywiście coś panu dam – mówiąc to poklepał go delikatnie po plecach i zaczął robić swoje.

Minęło jakieś dziesięć minut, a on i obaj ratownicy siedzieli już w ambulansie, który za chwilę miał ruszyć i dowieść go do najbliższego szpitala. Stanisław, który jeszcze kilkanaście minut temu był tak bardzo roztrzęsiony, teraz poczuł się nad wyraz spokojny i bardzo senny. Widocznie, taki był efekt leku jaki mu zaaplikowano.

- Cholera jasna, przyjechaliśmy za późno! Gdybym był tu wcześniej, to jestem pewien, że ona by żyła! – powiedział podniesionym głosem ten, który siedział za kierownicą.

- Może tak, a może nie. W tym zawodzie nie można mieć nigdy pewności – odpowiedział mu szybko towarzysz.

- Ja to wiem, rozumiesz? Gdybyśmy przyjechali wcześniej, to by się tak nie zakończyło – uderzył kilka razy pięścią w kierownicę, rozładowując w ten sposób frustrację. – Taka młoda i pełna życia. Piękna i taka młoda! Świat, do kurwy nędzy nie jest sprawiedliwy!

- Nigdy nie był i nie będzie. Uspokój się, to nic nie da. Musimy pracować dalej. Zrobiliśmy, co w naszej mocy i teraz musimy spróbować dalej funkcjonować. To nie nasza wina, że ona nie żyje.

Na kierującego pojazdem podziałały te słowa. Pokiwał tylko głową na znak, że się z kolegą zgadza, po czym zaczął zapinać pas bezpieczeństwa.

- No dobra ruszamy. Jeżeli zamierza pan siedzieć, to proszę zapiąć pasy, a jak na leżąco, to... też pana przypniemy – młodszy ratownik zwrócił się teraz do Stanisława, a zaraz potem do swojego kolegi, który siedział teraz na miejscu kierowcy i szykował pojazd do odjazdu.

- Słuchaj mnie Karol powiedziałaś policji, do którego szpitala wieziemy naszego pacjenta?

- Tak oczywiście, jeden z nich najpierw chciał przesłuchać pana tutaj na miejscu, ale jak mu powiedziałem, że jedziemy w trójkę do szpitala i że to nie podlega dyskusji, to powiedział, że za pół godziny przyjedzie, aby porozmawiać ze świadkiem. Ja raczej postawiłbym na dobrą godzinę lub nawet dłużej.

Badanie przez dyżurnego lekarza, prześwietlenie, szycie rany na głowie oraz krótkie policyjne przesłuchanie. Chwilę później powtórne spotkanie z lekarzem, wszystko to sprawiło, że do domu dotarł dopiero około godziny w pół do czwartej. Lekarz przepisał mu jakieś leki oraz wystawił na jego prośbę zwolnienie z pracy. Pod dom podjechał jedną z wielu taksówek, których sporo stało nieopodal izby

przyjęć. Jadąc obserwował uważnie widok za oknem. Lubił oglądać Poznań nocą, zwłaszcza z perspektywy jadącego samochodu. Mógłby tak jeździć przez całą noc. Wtedy miasto wydawało mu się jakieś takie spokojniejsze, czystsze. Tysiące jasno świecących latarni nadawało okolicom jakiejś takiej niesamowitej, tajemniczej aury. Po dziesięciu minutach jazdy, taksówka się zatrzymała pod podanym przez niego adresem.

Zapłacił kierowcy, podziękował i skierował się powoli w stronę kamienicy, w której mieszkał od lat. Wchodząc po schodach najciszej jak tylko potrafił, aby nie zbudzić sąsiadów, usłyszał w połowie piętra, że jego pies już go niestety wywęszył, a może usłyszał, a teraz energicznie podskakuje i skomli niecierpliwie pod drzwiami. Przyspieszył kroku, aby psiak nie zdążył narobić niepotrzebnego hałasu. Jego pies zawsze lubił głośno szczekać, gdy się bardzo cieszył. Przez chwilę nie mógł znaleźć klucza, ale gdy tylko sobie poradził, to błyskawicznie otworzył drzwi i już po chwili był w swoim mieszkaniu.

- No chodź tutaj, chodź do mnie psinko. No chodź, chodź do swojego pana. Pan zapomniał o tobie zupełnie, mój drogi Reksiu. Byłeś chociaż grzeczny psiaku?

Zawsze zwracał się pieszczotliwie do swojego pupila, zupełnie jak dorośli do malutkich dzieci. Pogłaskał skaczącego z radości psa po jego wielkim i kudłatym łbie. Uwielbiał tego psa i już od dawna nie wyobrażał sobie swojego mieszkania bez tego kudłatego dodatku.

- Nasi sąsiedzi nie będą dzisiaj nagabywać twojego pana, że było trochę za głośno? Co, nic nie powiesz, kochany psiaku? Szczekało się trochę, czy też może jednak nie. No chodź tu Reks, chodź idziemy się spacerować, załatwisz się i potem szybko spać. Ty pewnie jesteś już wyspany, ale ja padam z nóg. Jestem kompletnie wykończony. Na spacerku opowiem ci, co się stało, że twojego pana nie było tak długo w domu. Mam nadzieję, że nigdzie mi przez ten czas w domu nie nafajdałeś, ale gdyby nawet, to tym razem byłaby

to tylko i wyłącznie moja wina, więc z góry ci wybaczam. Tylko nie szczeraj mi jak będziemy schodzili po schodach, bo nas sąsiedzi zlinczują. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Zakończył tyradę i założył obrożę psu na szyję.

- Co ja jeszcze miałem zabrać? Aha już wiem, smycz idioto.

Policjant, który wszedł przed chwilą do pokoju nie wyglądał mu na bystrzaka. Wysoki, szczupły z rudą gęstą czupryną, którą zakrywał duże odstające uszy nie przypadł mu do gustu. Jego poprzednik zrobił na nim dużo lepsze wrażenie. Niestety tamten musiał z jakichś powodów szybko wyjść i przekazać sprawę koledze z wydziału. Facet miał na pagonach jedną gwiazdkę wtopioną w poziomą linię. Stanisław nie znał się zupełnie na tych wszystkich stopniach obowiązujących w policji, czy straży pożarnej. Wiedział tylko, jakie stopnie są w wojsku. Wszystko pozostałe, to była dla niego „tabula rasa”. Liczył jednak na to, że funkcjonariusz za chwilę się przedstawi i wtedy będzie wiedział z kim ma do czynienia. Chciał się dowiedzieć przynajmniej tego, czy siedzi przed nim oficer, czy może tylko jakiś pionek.

- Pańskie imię i nazwisko? – zapytał policjant i zaczął bębnić palcami po klawiaturze laptopa jeszcze zanim Stanisław zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Co pan tam pisze panie oficerze, jeszcze przecież nic panu nie powiedziałem?

Postanowił go sprowokować. Policjant bardzo go zirytował swoim zachowaniem. Wiedział od samego początku, że nie będzie pomiędzy nimi przysłowiowej chemii.

- Bardzo proszę odpowiadać na pytanie, zamiast je zadawać. – wyjaśnił mu nie przestając stukać w klawisze. – Od zadawania pytań,